

1

Tuż za wjazdem do naszej miejscowości zmienia się powietrze: ma w sobie coś kwaśnego, jest gęstsze, można by – jeśli otworzyć buzię – zacząć je żuć jak watę. Nikt z mieszkańców nie zwraca na to uwagi, a po kilku godzinach i ja będę myśleć, że to jedyna konsystencja, jaką może mieć powietrze, każda inna wydawałaby się obca. Przy tablicy z nazwą miejscowości zmieniam się także ja sama: moja twarz kamienieje i przyjmuje wyraz odziedziczony po tacie, wciąż towarzyszący mu na co dzień; wyraz wynikającej z lęku apatii, która ma sprawić, że nikt mnie nie zauważy. Granicę przekraczam na przystanku końcowym, autobusy zataczają tutaj pętlę, po czym podjeżdżają pod główną bramę cmentarza, gdzie kierowcy robią sobie przerwę. Tu zmienia się światło, skóra opina mi policzki niczym warstewka gliny i z każdym krokiem z ciemności wyłania się kolejna latarnia. Dachy jednorodzinnych szeregowców przy drodze, która prowadzi do Wielkiego Dębu, tak wyraźnie odcinają się na tle nieba, że widzę je nawet wtedy, gdy na chwilę zamknę oczy, jak po zbyt długim wpatrywaniu się w słońce. Kiedy docho-
dzę do drzewa, znów widzę normalnie; usiłuję nie skupić wzroku na dłużej na żadnym konkretnym punkcie, mimo że nikt na mnie nie patrzy, na ulicy nie ma nikogo, kto mógłby zwrócić uwagę na moje spojrzenia. Tylko

w pojedynczych oknach wciąż pali się światło, sylwetki poruszają się po pokojach, wstają z telewizyjnych foteli, przebierają się do snu albo wynoszą tace z kolacją. Mam wrażenie, że za każdą fasadą czai się śmierć, za ciemnymi oknami kryją się łóżka, w których dogorywają chorzy. Na ulicy panuje niemal całkowita cisza, tylko delikatne buczenie wypełnia miejscowość o każdej porze dnia, słychać je zwłaszcza w nocy. Biały szum dociera zza rzeki i mości się już w moim uchu, jednocześnie miękkki i szorstki – uczucie podobne do dotyku dobrze znanej poszewki na skórze. To kolejna rzecz charakterystyczna dla tego miejsca, na którą już po kilku godzinach tak jak inni przestanę zwracać uwagę. Na ostatnim skrzyżowaniu przed domem jednak kogoś spotykam – ojca idącego za rękę z córeczką. Dziewczynka pod jedną z latarni dostrzega własny cień o rozmytych brzegach, rozkładający się półkuliście dookoła. Zabawa polega na tym, by go zdeptać. „Giń, cieniu!”, woła zachwycona, a ojciec uśmiecha się do mnie. Odważam się uśmiech i tylko czekam, aż skóra odkruszy mi się od policzków jak wysuszona ziemia.



Klucz bez trudu obraca się w zamku sfatygowanych drewnianych drzwi, które wydają ten sam odgłos co zawsze, jak wtedy, gdy wracałam ze szkoły po wuefie, pot skraplał mi się między łopatkami, a w kieszeniach plecaka tkwiły puste torebki śniadaniowe; teraz jednak jest ciemno. Włączam światło na klatce. Na pierwszym piętrze ktoś zgromadził przy drzwiach cały stos kartonów i koszy na drewno i wypełnił je ziemniakami i cebulą. Od zewnątrz w zamku tkwi klucz, masywny, metalowy klucz starego

typu. „Zamknij światło”, powtarzała zawsze mama, gdy wracałyśmy do domu, bo lampa na korytarzu nie wyłączała się automatycznie. „Zamykać światło”, tak to nazywała. Otwieram drzwi i zamykam światło. Uderza mnie zapach dymu papierosowego. W tym domu wszędzie go czuć, zawieszona w powietrzu mgła wciska się w każdą ryse; pościele, ręczniki i poduszki z kanapy regularnie wirują w pralce, obsypywane pachnącym proszkiem, jednak wystarczy tylko je wyjąć, a dym ponownie oblepia włókna. Nie bardzo pomaga to, że ojciec nauczył się zamykać drzwi kuchenne. Naciskam klamkę, trzeszczy drewniana framuga, w kuchni unosi się jeszcze więcej dymu, a tata siedzi na ławie, z radosną miną obraca głowę w moją stronę, aż pojawiaam się w polu jego widzenia, z plecakiem na ramionach, o który uderzają drzwi, bo nie da się ich otworzyć na oścież. Na blacie piętrzą się artykuły spożywcze, widzę niebieski plastikowy woreczek ze starym chlebem, ten nadmiar jedzenia i tanich mebli, niskie sufity, biel na ścianach, z biegiem lat poźółkła, stos programów telewizyjnych, podłogę z PCV przy kuchence i korkową w korytarzu, w kilku miejscach nadkruszoną; rozpoznaję wszystkie te rzeczy. Poplamiony obrus na stole do połowy zastawiony kubkami, stary termos z brzegiem oblepionym skorupą zastygłej kawy, na lodówce magnes producenta sera; dostaliśmy go z tatą w prezencie, gdy kupiliśmy to przecenione wino ryżowe, po którym wymiotowałam w nocy do sedesu. Czerwoną klamrę, która kiedyś służyła mamie do spinania włosów na karku, a teraz leży w koszu pełnym ulotek. Na klamce wisi duża papierowa torba na opakowania, zbierane aż do chwili, gdy przestają się w niej mieścić.

– No, jesteś! – mówi tata.

Przez chwilę skaczemy po tematach, jak tam podróż, czy nie zapomniałam drogi.

– Wszystko wygląda tak samo, prawda, nic się tutaj nie zmieniło – dodaje łobuzersko.

Odstawiam swoje rzeczy i dosiadam się do niego. Tata podaje mi herbatę.

– Tu wszystko po staremu – powtarza. – Poza tym, że jesteś już dorosła, a twoi przyjaciele biorą ślub. Niesamowite, prawda? Tak wszystko się zaczyna. Życie toczy się swoim torem.

Mówi dziwnie niskim głosem, w którym słychać zmęczenie, jak kiedyś w głosie dziadka.

– No ale oni akurat mieli się ku sobie od bardzo dawna. Prawdziwa miłość z piaskownicy. Takie rzeczy zdarzają się już tylko w filmach. Pikka i Sophia...

Rzuca puste spojrzenie, przytrzymując dłoń na uchwycie czajnika, który właśnie odstawił na miejsce.

– Widuję ich czasem w supermarkecie, prawdziwi z nich dorośli, Sophia jest taka elegancka, w białych bluzkach i spódnicach, ale taka była przecież od zawsze, jak na dziecko nawet trochę do przesady. Są ludzie, którzy przychodzą na świat jako dorośli. A Pikka... Pamiętam, jak za dzieciaka pobrudził spodnie na trawie i bał się, że mama się zezłości. Biedak zawsze był bliski płaczu. Spędzaliście dużo czasu na łące nad rzeką, tak jak trzeba: dzieci na świeżym powietrzu. Sam przynajmniej taki nie byłem i nie robiłem awantury o kilka plam. Tacy eleganccy nie byliśmy nigdy. Na którą jutro?

– Na dwunastą – odpowiedziałam.

– No i tak...

Potem jak zawsze zaczyna mówić o połączeniach kolejowych i ruchu na autostradzie A66, o pogodzie,

która się zmieniła, i o tym, co leci w telewizji. Najbardziej lubi programy o przeszłości i wznowienia starych formatów: operę mydlaną *Przygody roku 1900*, dokument o życiu w średniowieczu *Anno 1476*, przeróbkę *Winnetou*, *Listę przebojów* z największymi hitami lat siedemdziesiątych. Obok na kuchennym stole leży miejscowa kronika, żmudnie spisana przez dzielnicowe towarzystwo historyczne. Wydrukowana na białym papierze do ksero w formacie A4 i zszyta, a w środku rozpixselowane odbitki czarno-białych zdjęć, w tym kobiet stojących w fartuchach przed domem. Zawsze powinno być tak, jak kiedyś.

Przez czterdzieści lat pracował w tej samej firmie, także i do tego tematu powraca nieustannie. Rozpiera go robotnicza duma połączona z przekorą i wyuczoną z konieczności arogancją (lekko unosi podbródek, o kilka milimetrów przymyka powieki, opuszcza przy tym ramiona); tata przez czterdzieści lat zanurzał w ługu aluminiową blachę, czterdzieści godzin w tygodniu.

Cechuje go też bezradność we wszystkim, co wykracza poza pracę.

Nie chodzi na msze, nie należy do żadnego klubu (ani do chóru męskiego „Fortuna”), nie wpuszcza nikogo do domu. Zapraszanie gości było czymś, czego nie znał i mi zabraniał, gdy jeszcze z nim mieszkaliśmy; goście oznaczali obcych, którzy chcieli wdrzeć się do naszej kryjówki, należało się przed nimi bronić, zamykając drzwi wejściowe na dwa razy i nie naprawiając zepsutych rolet, bo to nawet dobrze, że uniemożliwiały zajrzenie do pokojów. Tata schodzi czasem nad rzekę, obserwuje statki i odwraca się, gdy ktoś pojawi się w pobliżu. Z nikim się nie wita. Na cmentarz zawsze idzie tą samą drogą,

bocznymi ulicami, jak gdyby miał coś do ukrycia; nie wchodzi głównym wejściem przez kamienny łuk, lecz przez zieloną żelazną bramę, przeznaczoną tak naprawdę dla ogrodników. W zamian ludzie zostawiają go w spokoju. Kobieta ze sklepiku z prasą, gdzie wystawy nie zmieniano od dwudziestu lat (wyblakłe od słońca lalki i ułożone w krąg powieściadła) i gdzie tata kupuje lokalną gazetę, od samego początku nie była wobec niego zbyt wylewna, choć z innymi prowadzi długie rozmowy o wydarzeniach w okolicy. Sprzedawca w sklepie ze sprzętem do telewizji satelitarnej zbył ojca, gdy ten chciał zamówić fachowca do zmiany sygnału na cyfrowy – rzekomo z powodu zbyt dużego zainteresowania; z czego ten sklep jeszcze w ogóle się utrzymuje, pytał tata, przecież w dzisiejszych czasach ludzie zakładają sobie w domu internet sami. W małej firmie wykonującej konstrukcje stalowe odmówiono mu realizacji jego pomysłu na grób mamy, który polegał na wykuciu miniatURY ogrodowego płotu. Za każdym razem, gdy mija na schodach kartony i stosy papieru, podciąga szelki, a kiedyś po wejściu na górę, mawiał, że miejscowi znów dowiedli swojej głupoty. „Nie chcemy mieć z nimi do czynienia”, rzucał przepętniony nieufnością i choć nie miał na myśli nic konkretnego, podświadomie dawał wyraz swojej postawie, tak jak robi to także i dziś, gdy pyta mnie, c o t a k i e g o chcę robić po moich studiach. Kiedyś z kolei zwykł mówić: „P a t r z t y l k o, żebyś miała na chleb”. Nie rozumiałam go i długo t y l k o p a t r z y ł a m, podczas gdy nie działa się zupełnie nic, a w tle kopciły kominy parku przemysłowego.